№ 6

Warszawa, dnia 30 Stycznia / 11 Lutego 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

DZIWACZNE SEKTY RELIGIJNE

W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Niema bez wątpienia kraju coby się mógł porównać z północną Ameryką pod względem mnogości sekt religijnych. Oprócz Protestantyzmu będący panującem w kraju wyznaniem, są tam jeszcze niezliczone odmiany, z pomiędzy których chcemy tu przedstawić niektóre z najdziwaczniejszych. Z tego tytułu pierwszeństwo niezaprzeczone należeć się musi kongregacyi *Drżących Kwakrów*, którzy chwalą Boga tańcem i wierzą iż *tylko* tańcując można się dostać do królestwa Niebieskiego. Dziwném jest zaprawdę iż tak wygodna w swych zastosowaniach wiara nie znalazła dotąd rozleglejszego uznania, siedlisko jéj bowiem ogranicza się dotąd na jednéj tylko miejscowości Stanu New-York, zwanéj New-Lebanon czyli Nowy Liban położonéj po nad rzeką Hudson. Wynagradzając o ile nas stać na tę tak niezasłużoną krzywdę gorliwym zbawiennego tańca, damy tu krótki zarys zasad ich wiary i obrzędów do niéj przynależnych. *Drżący Kwakrowie*, zwani po Angielsku *Quaakers Shakers* wzięli za godło swéj wiary następujące słowa, któremi Pismo Święte opisuje tańce króla Dawida przed Arką Przymierza.

«A Dawid odziany w suknię lnianą, tańcował i skakał ze wszystkich sił swoich przed Panem.»

Ku uczczeniu pamięci owego hołdu oddanego Arce Przymierza przez króla Proroka, zbierają się co Niedziela *Drżący* w obszernéj sali, gdzie zasiadają naprzód na ławkach, mężczyzni po jednéj stronie, kobiéty po drugiéj. Każdy przynosi z sobą potężny ręcznik zawieszony na ręku, który jest zaprawdę najniezbędniejszym w tym obrzędzie dla uczestniczących w nim przyborem.

Drżący wznoszą naprzód oczy ku niebu, wykrzywiając się najniemiłosierniéj, przyczém kręcą palce jednéj ręki w około drugiéj. Po tym ustępie, jeden ze starszych wyznawców powstaje i zaleciwszy przyzwoite i poważne zachowanie się osobom obecnym, które do sekty nie należą (za wejście w takim razie płaci

się cztery złote), rozpoczyna hymn dziwnego jakiegoś urywanego rytmu, który za nim wszyscy współwyznawcy powtarzają. Ostatnia nuta téj pieśni zdaje się sprawiać na *Drżących* wrażenie jakie odgłos trąby wojennéj wywiera na koniach. Zaledwie wymówili ostatnie jéj słowo, wstają wszyscy jakby pchnięci jedną sprężyną, odstawiają na bok ławki i szykują się w szeregi złożone z dziesięciu osób, osobno kobiéty, osobno mężczyzni. Na dany znak, wszyscy razem poczynają podskakiwać, posuwając się naprzód i znowu się cofając, jakby w kontredansie, wreszcie po niejakim czasie zwróciwszy się plecami jeden do drugiego, zatrzymują się z nagła jakby na znak dany.

Niebawem taniec rozpoczyna się znowu z towarzyszeniem śpiewu, którego urywana melodja stosuje się do ruchów tancerzy. *Drżący*, czyli téż *Trzęsący się*, bo niewiadomo czy drżeniem czy trzęsieniem się można nazwać osobliwe podrygiwanie ich ciała przy świętym obrzędzie, wybijają w tańcu takt nogami, ręce zaś zwieszone mają wzdłuż ciała, lecz je miarowo podnoszą od czasu do czasu dla skrzyżowania ich na piersiach. Ruchy te niezgrabne a szybkie zarazem, przypominają nieraz profanom taniec rozweselonych niedźwiedzi. Śpiew który im towarzyszy nie ma wcale słów, czyli raczéj powtarza się w nim ciągle jedno tylko słowo: *law*, znaczące po angielsku *prawo*.

Po pewnym przeciągu czasu, strudzeni wyznawcy siadają na ławkach, i każdy się ucieka wtedy do przezornie przygotowanego ręcznika, aby niem obetrzéć pot obficie spływający po zbawiennym trudzie. Podczas tego wypoczynku bywa śpiewaną chórem innéj melodyi pieśń, któréj oto są słowa:

«Dusze nasze i ciała są wyswobodzone,
Jesteśmy oczyszczeni z grzechu i z wszelkiéj nieprawości.»

Trzęsący się śpiewają tę pieśń na nutę nadzwyczaj powolną i w sposób przeciągły, skończywszy ją powstają znowu z ławek i śpieszą do tańca, ale tą razą nie szykują się już w szeregi tylko zataczają koła w których kobiéty stają obok męszczyzn. W tym nowym rodzaju tańca, jedni śpiewają wybijając takt rękami, podczas gdy drudzy przerwawszy łańcuch koła, biegają w około nich trzymając się za ręce długim sznurem. Obrzęd trwa dopóki tylko starczą siły wyznawców, wreszcie tancerze powłóczą już zaledwie nogami, śpiewacy zaś nie wydają jak tylko słabe i ochrypłe głosy podobne do skrzeczenia żab, i tak stopniowo, wszystko się ucisza i taniec ustaje, ale o ile można najpóźniéj, główną bowiem zasługą i zaszczytem dla każdego z *Drżących* jest, pozostać ostatnim na placu.

Po skończonym obrzędzie, wyznawcy rozchodzą się każdy ze spokojném sumieniem do domu, pożegnawszy się nawzajem pocieszającém słowem: «Do widzenia.»

Chcąc zakończyć ten opis kilku szczegółami dotyczącemi się poważniejszéj strony téj sekty, dodamy że własność jest wspólną u *Kwakerów Drżących*, z czem zdaje im się być wcale dobrze, pola ich są bowiem starannie uprawiane a pozór całéj osady świadczy o jéj dobrym bycie. *Trzęsący się*, oddają się z zamiłowaniem sztuce lekarskiéj a może i szukają w niéj korzystnych źródeł przemysłu, co zdaje się stwierdzać liczne składy apteczne znajdujące się w New-Lebanon. Sprzedawane w nich lekarstwa nie zalecają się jednak rozmaitością, są to prawie wyłącznie paczki ziółek jednakowego rodzaju, noszące szumny napis: *Żywot wieczny*, a nie mające podobno innéj własności jak obudzenie lekkich potów.

METODYŚCI.

Sekta Metodystów słynie w Stanach Zjednoczonych ze swego fanatyzmu i liczy tam mnogich wyznawców. Zbierają się oni dorocznie pod gołém niebem dla modlitwy i słuchania nauki. Zebrania te w których uczestniczy nieraz po kilka tysięcy ludzi noszą nazwę Zebrań Obozowych (Camp-Meetings); mają niby przypominać wspólną modlitwę piérwszych chrześcijan chroniących się po lasach i pustyniach od prześladowania. Ztąd o pewnéj porze roku, wierni ich naśladowcy, przybierający nazwę *Pielgrzymów wiary* dążą tłumnie ku umówionym miejscom, gdzie duch ich ma otrzymać pokrzepiający pokarm zbawiennéj nauki.

Na kilka dni już pierwéj wszyscy służący czarnéj lub mięszanéj barwy z Baltimoru otrzymują od panów urlop trzydniowy i na drogach wiodących ku miejscom obranym na zebrania, widać mnóstwo wozów i wózków naładowanych różnobarwną ludnością pomiędzy którą, liczba białych jest stosunkowo bardzo mała.

Świątobliwa ta pielgrzymka jest uroczystością wielce ulubioną od motłochu biorącego w niéj udział. Śpiewy i śmiechy rozlegają się po całéj drodze a biada wszystkiemu co ów żyjący potok napotka w swoim biegu. Murzyni zabierają wszystko co się nadarzy, drób, barany, trzodę, wszystko im się przyda do uprzyjemnienia kilkodniowego pobytu w lesie gdzie mają «opłakiwać zbrodnie tego zepsutego i przewrot-

nego świata i błagać Boga o nawrócenie grzeszników.» Nieraz też widzieć można okolicznych właścicieli, zdążających także ku miejscu Obozowego zebrania, nie już dla otrzymania duchowego pokarmu, ale po prostu dla odszukania skradzionego im dobytku.

«Przybywszy na miejsce dorocznéj uroczystości, opowiada pewien angielski podróżnik, ujrzeliśmy naprzód tak zwany *bar-room* czyli po prostu szynkownię urządzoną na prędce ku zaspokojeniu najbardziéj naglących potrzeb pielgrzymów. Podczas gdy jedni zapijali wesoło rozmaite trunki, inni już dobrze pijani, tańcowali w sposób mało budujący wielce swobodną *bambulę,* któréj towarzyszyły śpiewki, nie zakrawające bynajmniéj na nabożne pieśni. Po skończonym tańcu, krępy murzyn który się szczególnie w nim odznaczał, zawołał donośnym głosem: «Dosyć już tego na ubicie szatana, pójdźmy wypić jeszcze po kufelku!» Na co publiczność odpowiedziawszy hucznemi okrzyki, rzuciła się tłumnie ku szynkowni.

Miejsce zebrania tworzyło obszerne koło pośród lasu. Widać na niém było porozrzucane gdzie niegdzie drzewa świeżo zrąbane i zaledwie ociosane, które miały służyć za ławki dla słuchaczy świętéj nauki. W około téj odkrytéj przestrzeni, wznosiły się liczne namioty, pod któremi «panie i panowie mięszanéj cery» jak siebie nazywał ten motłoch, pili, jedli, modlili się i wysypiali kolejno.

Na samym środku odkrytego koła, było urządzone wywyższenie z desek w rodzaju pomostu czyli rusztowania, takie jakie widujemy nieraz na jarmarkach przy ludowych widowiskach. Wkrótce ukazał się na niém człowiek średniego wzrostu, którego powierzchowność, pomimo przybranej powagi, nosiła odrażającą cechę obłudy i przebiegłości. Był to przewielebny Jan Maffit, słynny u Metodystów kaznodzieja. Nauka płynęła szybkim potokiem z natchnionych ust jego, a towarzyszyły jéj koncepta tak grubijańskie, tak dziwaczne rzucanie się i machanie rękami, że zdało nam się widzieć raczéj ulicznego komedjanta niż kapłana głoszącego słowo boże. Kazanie sprawiało jednak na słuchaczach niesłychane wrażenie. Pijacy, mniéj lub więcéj wytrzeźwieni, przysięgali że pić przestaną na zawsze i zapiszą się do towarzystwa wstrzemięźliwości. Zakamieniałe grzesznice wyznawały na cały głos swoje winy, i przyrzekały najzupełniejszą poprawę. Wreszcie, cały tłum jakby porwany szałem fanatyzmu począł drzeć na sobie odzienie, czyli raczéj łachmany przywdziewane z umysłu na tę uroczystość, wydając straszliwe okrzyki przypominające głosy dzikich zwierząt, zwykłych mieszkańców miejsca w którem się znajdowaliśmy.

Słowa przewielebnego kaznodziei zdawały się elektryzować coraz bardziéj słuchaczy i w miarę sprawianego wrażenia, głos jego podnosił się też coraz silniéj. Zachwycenie tłumu nie znało już wreszcie granic, kiedy natchniony prorok porównał Boga do *praczki,* któréj dziecko zasnęło podczas jéj roboty.

«Jeśli, skoro się dziecko obudzi, dodał, zakwili tylko z cicha, praczka zajmuje się daléj spokojnie swoją robotą; jeśli zapłacze, nie porzuca ona jéj jeszcze, tylko probuje je ukoić łagodnym śpiewem i pieszczotliwemi słowy; ale gdy pocznie krzyczeć przeraźliwie jakby je miały porwać konwulsye, strwożona matka zrywa się szybko z miejsca, obciera ręce i śpieszy dziecku swemu na pomoc.»

«Otóż tedy, my to bracia moi, jesteśmy biedną niewinną dzieciną. Pan nasz Jezus Chrystus jest ową *praczką* zajętą *wypieraniem* zbrudzonych dusz ludzkich, więc jeśli nie będziecie krzyczeli i wołali ku niemu ze wszystkich sił waszych, da wam zgnić w błocie występku, zkąd zapadniecie potém w piekielne otchłanie. Tak jest, bracia moi, będziecie wszyscy potępieni, jeżeli nie zawołacie ze mną: Panie! Panie! ulituj się! Wtedy On zstąpi ku wspomożeniu waszemu i będziemy śpiewali wszyscy razem w niebie: Alleluja!»

Zaledwie czcigodny Jan Maffit wyrzekł te wymowne słowa, aż tu poskoczyła ku niemu z pośród tłumu stara murzynka, która przesadziwszy jednym susem strome schodki wiodące na pomost, rzuciła się na szyję zasapanego kaznodziei, wołając z płaczem podobnym do ryku dzikiego zwierzęcia: Ojcze! ojcze! powiedz mi że nie będę potępioną. Nieszczęśliwy prorok pragnąc się oswobodzić co najrychléj od namiętnego uścisku téj czarnéj poczwary, usiłował ją zapewnić, iż żal tak szczery musiał już okupić jéj winy i przebłagać sprawiedliwość Bożą, zaczém uspokoiła się niebawem i okrzyki jéj boleści zmieniły się w radośne wykrzykania.

Po tym ucieszným ustępie, Jan Maffit wypocząwszy nieco, rozpoczął na nowo swe kazania, które zakończył nareszcie wzywając swych braci by nakarmiwszy już dostatecznie ducha, pomyśleli z kolei o pokrzepieniu ciała, i zapowiadając że w ciągu nocy zawezwie ich raz jeszcze na modlitwę ku uproszeniu zmiłowania Bożego.

Wtedy każdy wrócił pod swój namiot i zajął się przyrządzeniem herbaty i wieczerzy. Obozowisko przedstawiało w téj chwili widok dziwaczny i wielce urozmaicony. Noc już była zapadła, z pośród jéj ciemności błyskały tu i owdzie ogniska oświecające

czarne postacie podobne raczéj do duchów nocy jak do ludzkich istot i rzucające swe odblaski na drzewa otaczającego nas lasu. W tym tłumie z pośród którego wybiegały dziwaczne śpiewy i gwary mięszane, jedni pili, lub bili się pomiędzy sobą, inni już spali, inni wreszcie tańczyli zawodząc szalone koła, jeszcze pod wpływem fanatycznego obłędu, wywołanego przez tylko co usłyszane kazanie.

Wkrótce jednak, cała ta scena przybrała bardziéj spokojną postać. Wieczerza była gotową i Metodyści zasiedli do niéj. Zauważaliśmy ze zdziwieniem że świątobliwi pielgrzymi nie zapomnieli wziąść z sobą w drogę nic z tego, co było potrzebném do ich wygody. Nie brakło tam ani stołowego srebra, ani wszystkich przyborów potrzebnych do herbaty, ani nawet lodu do ochłodzenia trunków i nadania masłu pożądanéj twardości. Słowem wieczerza przypominała raczéj obfitością i zbytkiem weselne gody, niźli skromne piérwszych chrześcjan *agapy*.

Skoro nadeszła północ, odgłos trąby przywołał znowu wiernych na naukę. Metodyści otoczyli tłumnie rusztowanie i rozpoczęły się pieśni przerywane niekiedy nauką. Obrzęd zakończył się hymnem śpiewanym chórem przez wszystkich wyznawców. Śpiew ten wolny i poważny, sprawiał głębokie wrażenie w téj godzinie nocnéj, pośród lasu oświetlonego w części przez promienie księżyca, w części przez porozrzucane tu i owdzie ogniska. Dziwaczny pozór tego czarnego tłumu, ponura postać kaznodziei, wszystko się składało ku nadaniu całéj téj scenie barwy, całkiem fantastycznéj i sprawiało wrażenie niepodobne do zapomnienia.

W tém z nagła, głos Jana Maffit podniósł się z dźwiękiem grobowym: Módlmy się, wyrzekł po trzykroć — i na te słowa wszyscy słuchacze padli na ziemię, wijąc się w straszliwych konwulsjach wyciem i rykiem, przypominającym głosy dzikich zwierząt zamkniętych w klatkach. Był to obraz wzięty za prawdę z Dantyskiego piekła, a pośrodku rozszalałego tłumu, przechadzał się niby uosobienie szatana, Jan Maffit śpiewający hymny i spoglądający se spokojném zadowoleniem na motłoch tarzający się w prochu pod jego nogami.

Zachowaliśmy z téj sceny wrażenie pełne niewypowiedzianego wstrętu. Dalszy ciąg życia czcigodnego Jana Maffit usprawiedliwił zresztą aż nadto, nieufność naszą we względzie boskiego jego posłannictwa. Niedługo potém, korzystając z pozyskanéj sławy, potrafił on otrzymać za żonę córkę zamożnego obywatela z Baltymoru, którą porzucił w sposób jak najniegodziwszy po dwóch zaledwie miesiącach pożycia, zostawiając ją w zupełnéj nędzy. Ztąd wynikła bardzo gorsząca sprawa, podczas któréj liczni świadkowie wyjawili haniebne postępki przebiegłego świętoszka. Nie mając już tedy nic do roboty w swoim kraju, znikł z niego bez śladu. Powiadają że się udał szukać szczęścia w Australji czy też w Kalifornij.»

---

*
* *

Wróżebne przypowieści twierdzą że gdy w Gromnicę z dachów ciecze, zima się jeszcze przewlecze i przeciwnie gdy w Gromnicę rzeki stoją a śnieg, chrupi, wnet się zima ciepła dokupi. W tym roku Gromnica wystąpiła z mrozem i to porządnym, a chociaż mówi przysłowie że w dniu 6 Lutego o Ś. Dorocie, już wyschną chusty na płocie, chociaż rachowanie łysych ma mieć własności obniżania wzmagającego się mrozu, jednak i po Ś. Dorocie, w jednym z zimnem jesteśmy kłopocie i mimo całych regimentów łysych starych i młodych, mróz karku skręcić ani myśli. Ciekawym czy napisze Ś. Walek, że pod lodem nie ma belek, albo Ś. Maciéj, czy zimę straci czy ją zbogaci? Przysłowie bowiem powiada, że gdy Ś. Maciéj lodu nie stopi, to długo w ręce chuchać będą chłopi.

Kto wié może to chuchanie przeciągnie się do Maja? W roku zeszłym dnia 24 Maja, śnieg ubielił wszystkie dachy Warszawskich kamienic, w polu przeleżał dwie doby, odmroził kilka nosów i uszów a Waszego gawędziarza, ledwo w podróży na piękne nie zamroził; niby więc nie było tak bardzo dziwnego, gdyby w majówki suwano się na łyżwach, a w Czerwcu zasypywano się śnieciuszkami. Wszakże przepiórki przybywające do Grecji licznemi stadami zwykle w końcu sierpnia, tego roku zaledwie zjawiły się w Listopadzie, i do tego tak wychudłe i wycieńczone, że biedactwo nie miało nawet siły puścić się przez morskie obszary. Być więc bardzo może, że w otaczającym nas powietrzokręgu, zaprowadzony został nowy porządek, i Styczeń zrobiono Majem, a Luty Styczniem. I cóż to byłoby dziwnego?

Co do mnie, przyznam się Wam moje Czytelniczki że przestałem się dziwić wielu rzeczom, a to od chwili, jak w Paryżu zaczęły przystrajać głowy, brunetki szczygłami wypchanemi, blondynki wróblami, a poważny Times angielski poświęcił kolumny swoje rozbiorowi pytania, czyby nie można otoczyć całéj kuli ziemskiéj siecią drutów telegraficznych? Pomysł niebagatelny! ale i moda ptasia zarówno śmiałością jak i śmiesznością mu dorównywa. Gdyby bowiem ptakami chciano symbolizować usposobienie moralne główek niemi zdobiących się, w wyborze byłby kłopot nielada. Którażby z nich chciała np. użyć srokę lub gawrona? Wróbel już jest strasznie prozaiczny,

sroka papla, a gawron... wiecie przecież co znaczy. Moda zatem ptasia przy śmieszności dowodzi niepospolitéj odwagi, bo upowszechniając się, musiałaby pomieścić z czasem w szeregu nowego przystroju, małe gąski, indory, pawie, perliczki, a nawet sowy, niedoperze, jastrzębie i krogulce. Kolekcja nie bardzo ponętna; gdyby jednak ptastwo to obdarzone własnością gąbki, służyć mogło za środek wciągający w siebie z główek i serduszek przesadzonych elegantek wszystkie właściwości do nich przywiązane, ciemięztwo gąsek, złość indorów, pychę pawiów, gadatliwość perliczek, ciemnotę nocnego ptastwa, a porywczość drapieżnego, modę tę nie tylkobym pochwalił, alebym popierał całą wymową i powagą tygodniowego gawędziarza. Praktyka bowiem codziennego życia przekonywa, że:

Gdzie strój pierwszyzna,
Tam w głowie słabizna,
Bo szata i uroda,
Jak woda
Płynie, płynie,
I ginie.

Ale i moda modzie nie równa, są wypadki, że szczerze jéj można przyklasnąć. Do téj należą odczyty naukowe, które nawet w ruchliwym zmiennym i lekkim Paryżu, stały się dzisiaj głównym objawem literackiego życia. Wszystko tam co żyje szuka nauki i goni zawzięcie za zdobyczą wiedzy. To pragnienie światła potęguje moda, podciągając pod wszechwładną swą wolę, nawet umysły najbardziéj lubujące się w ciemnicy karłowatego życia. A jak rozwija się olbrzymim krokiem, świadczy najlepiéj, wydane w ostatnich czasach dla dwustu osób upoważnienie rozpoczęcia wieczornych prelekcji z których na sam Paryż przypada 125, a 75 na miasta prowincjonalne. To łaknienie braterstwa z duchem oświaty, pomimo zimna, flagi, dżdżystéj pory, a nawet przymrozków, wszystkie sale wykładom przeznaczone, napełnia zawsze licznemi tłumami, stanowiącemi jednak zaledwie połowę tych, coby z nauki pragnęli korzystać.

Podobno w Warszawie Towarzystwo dobroczynności ma urządzić na swój dochód odczyty popularne z fizyki, chemji, zoologji, botaniki, mineralogji, kosmografji i geologji. Myśl to zaiste godna poparcia, wszystkich ludzi zacnego serca i dobréj woli, zwłaszcza że szerzenie światła, ułatwianie jego rozwoju, jest największą na świecie dobroczynnością, i jedynym środkiem do zmniejszenia liczby wyciągających ręce po jałmużnę. Gdyby wszystkie na świecie Towarzystwa Dobroczynności w tym działały kierunku, naprzykrzone i nieznośne żebractwo uliczne, niezasilałoby się rok rocznie indywiduami pełnemi siły, zdrowia, lat młodych i czerstwości.

Niedawno deputowany Jules Simon w Paryżu, zebrał i ogłosił wszystkie dokumenta, przemawiające za nagłą potrzebą rozpowszechnienia wychowania elementarnego we Francji. Za najskuteczniejszy do tego środek podawał przymus, jako oparty na kodeksie cywilnym, który powiada: że ojciec ma obowiązek wychowywać swoje dzieci. Jeżeli ojciec rodziny tego obowiązku nie spełnia, wyraża się Simon, wyrządza krzywdę społeczeństwu i nadaje mu prawo do przymusu.

Zdaniem mojém jest to dowodzenie bardzo loiczne, zwłaszcza że doświadczenie przekonało, iż wszędzie gdzie tylko nauka była obowiązkową, tam oświata ogólna zrobiła ogromne postępy i nieumiejący czytać należą do rzadkości. We Francji na sto par zawierających małżeństwo blisko połowa nie umie się podpisać, a na stu dwudziestoletnich młodzieńców jeszcze w r. 1862 nie umiało czytać 27.

DO DZIEWCZYNY.

Gdy serduszko igrać zacznie,
Już cię szczęście pożegnało,
Przyjdzie smutek i nieznacznie
Twą zawładnie duszą całą.

Zwiędnie krasny kwiat swobody,
W pierś zakradną się westchnienia,
I dla ciebie świat twój młody,
Wyda dziki głos cierpienia!

Strzeż że serce, dziewcze hoże!
Szczerze Bożéj proś opieki...
Bo zdradliwe marzeń morze,
Bo tam szczęścia brzeg daleki!

Józef Moroz

Kronika literacka.

Podróż do Włoch Józefa Kremera T. V. część 2-ga Wilno 1864 r.

Obejmuje sprawozdanie z tego wszystkiego co Włochy posiadają pod względem sztuki budowniczéj, rzeźbiarskiéj i malarskiéj. Część druga teraz wyszła, zawiera pyszny opis kościoła Ś. Piotra, tego najwznioślejszego cudu budownictwa wszech czasów;

przy nim widnieją bazyliki starego Rzymu i ciemne katakumby krwią męczeńską skropione. Rozbiór dzieł wielkiego Rafaela posłużyć może za wzór krytyki malarskiéj a przytem mimo tak zupełnego zużycia przedmiotu i wyczerpania przez tylu znakomitych pisarzy, zawiera jednak myśli nowe i pełne świeżości. Szczegółowy przegląd muzeów Rzymu, nagromadzonych z ruin starego miasta kosztem i staraniem papieży, dopełnia opisu sztuki starożytnéj i nowożytnéj w wiecznym krzewiącéj się grodzie. Nareszcie w końcu dzieła dodany jest przewodnik historyczny głównych epok rozwoju sztuki, który służy jakby za klucz do całéj pracy, w zarysach krótkich, prostych ale stanowczych, służyć może za wyczerpujący podręcznik dla naszych Czytelniczek. Podręcznik ten uzupełnia się i rozwija samem dziełem, którego tok opowiadawczy pełen rozmaitości zajmie każdy umysł mniéj lub więcéj do tego rodzaju studji przygotowany. Kremer tą piękną pracą wyświadczył naszéj publiczności prawdziwą przysługę, a sobie postawił piękny pomnik w literaturze estetycznéj sztuk pięknych.

Kalendarz Polski illustrowany na rok 1865. Jana Jaworskiego Warszawa 1865 r.

Forma tego kalendarza jest naśladowaniem podobnéj publikacji Webera wychodzącéj w Lipsku w języku niemieckim, naśladowaniem szczęśliwem, jeżeli weźmiemy zewnętrzność mianowicie wykonania typograficzne i odbicie drzeworytów. Co się tyczy wewnętrznéj wartości kalendarza, nie dla wszystkich części pochlebny sąd nasz wypaść może, pierwsza część czysto kalendarska opracowana wzorowo, że tak powiemy nawet ze zbytkiem, toż samo i część trzecia informacyjna. Możebyśmy jéj zarzucili że za mało uwzględnia rzeczy obce, lecz ponieważ na swoje, miejsce było ograniczone, dobrze się więc stało że im zapewniono przewagę. W ogóle znajdzie tam czytelnik to wszystko, co go w praktycznem życiu obchodzić może, w czem kalendarz powinien udzielić porady. Zebrane zaś starannie data statystyczne czynią go tym cenniejszym.

Część pośrednia czyli druga jest balastem literackim. Nie będziemy wyszczególniać ani miernych, ani rzeczywiście dobrych artykułów jakich też nie mało spotykamy ale uczyniemy ogólną uwagę, iż tak pod względem wyboru przedmiotów jak traktowania widzimy zużycie, pobieżność i wyczerpanie. Przytém jeżeli kalendarz J. Jaworskiego pragnie być rzeczywiście przeglądową kroniką, niechże nie popada w wyłączność, ale pamięta że my rozwijamy się na tle ogólnego życia, które także winno wszędzie przyświecać. Zresztą jest to pierwszy początek a mamy nadzieję, iż kalendarz Jaworskiego dobrze przyjęty w téj formie długi lat szereg liczyć będzie.

O UBIORACH.

Mody tegoroczne w ogólności mniéj rażą ekscentryczną przesadą od zeszłorocznych, fraki naprzykład z długiemi klapami zupełnie już zarzucone, za to baskiny u staników przybrały inną kształtniejszą postać przypominają bowiem staniki Francuzkie, używane powszechnie przed kilkunastu laty. Widzieliśmy kilka takich sukien, zasługujących na szczegółową wzmiankę.

Suknia popielata z wyrobu Angielskiego *Linsey*, w białe supełki, miała spódnicę, zakończoną u dołu grubym rulonem aksamitnym czarnym. Do tego szedł osobny stanik, czyli kaftan obcisły, z równą baskiną do koła, objętą aksamitem. Baskina ta odcięta z tyłu od stanika tworzyła dwa wpuszczone fałdy. Wzdłuż baskiny z tyłu i po bokach dana była pliska aksamitna czarna, naszyta rzędem stalowych guzików. Przód spinał się także na stalowe guziki. Rękawy ścięte do łokcia, obłożone były u ręki aksamitną plisą odwróconą do łokcia, na tem odwróceniu szły rzędem trzy stalowe guziki.

Inna suknia w tymże samym rodzaju, popelinowa Hawanna wyszyta była u dołu wązkim szlaczkiem perskim, w greckie kanciaste zęby. Kaftanik takiż sam jak powyżéj opisany, spinał się na czworograniaste guziki z białéj perłowéj konchy. Z tyłu szły takież guziki, trzema rzędami na baskinie. U dołu kaftana wyszyty był szlak grecki odpowiednio do spódnicy. Z tyłu z pod baskiny spadały dwie szarfy popelinowe, obszyte gładko perskim szlaczkiem.

Trzecia suknia jasno popielata wełniana przerabiana jedwabiem, miała stanik przybrany wązkiemi paskami z baranka Astrachańskiego. Stanik spinał się z przodu na czarne pletnie i guziki w formie baryłek.

Ubrania dziecinne odznaczają się w ogólności większą prostotą, niźli ubrania starszych osób. Opiszemy tu kilka ładnych sukienek, które nam się widzieć zdarzyło w magazynie pani Somerfeldowéj.

Ubranie pięcioletniéj dziewczynki. Spódniczka popelinowa popielata, nad obrębem pięć rzędów czarnéj wązkiéj aksamitki, przecinane w poprzecz w odstępach klapkami, z cokolwiek szerszéj aksamitki, zakończonéj w ząb po obu stronach. Do tego szmizetka

biała półbatystowa, na wierzch kaftanik popielaty, przybrany odpowiednio. Spódniczka wszyta w pasek z bawetem obróconym w górę, i naszytym w drabinkę aksamitką.

Ubranie dziewczynki siedmioletniéj. Spódniczka merynosowa w białą i niebieską kratę. Nad obrębem także plisa ukośna objęta z obu stron niebieskim rulonikiem. Stanik biały muszlinowy pod szyję. Na to idą szelki z merynosu ukośnego objęte niebieskim rulonem, i wychodzące z przodu i z tyłu poniżéj paska, ścięte u dołu czworograniasto. Pasek także ukośny.

Ubranie dwuletniéj dziewczynki. Sukienka popelinowa *solférino*, wycięta u dołu w okrągłe zęby obszyte fałdowaną wstążeczką. Kaftanik takiż sam, pod spód biała szmizetka.

Ubranie trzyletniego chłopczyka. Spódniczka popielata z wyrobu *Alsen*, obłożona nad obrębem pliską szafirową. Kamizeleczka także sama, spięta na stalowe kwadratowe guziki. Na to kaftanik z baskiną obłożony szafirową pliską.

Ubranie pięcioletniego chłopca. Spódniczka z popeliny szkockiéj w kratę, kaftanik czarny z baskiną. Przez ramię przewiązana szarfa w kratę, z szerokiemi końcami spadającemi z boku.

Oprócz kołnierzyków wygarnirowanych z przodu koronką (zwanych *juges*) o których wspominaliśmy już kilka razy, widzieliśmy także inne złożone poprostu z wszywki muszlinowéj haftowanéj, obszytéj z obu stron wąziuchną na palec muszlinową falbaneczką, pod wstawką podwłóczy się aksamitka kolorowa, zakończona kokardą u szyi.

Rękawki do tego wązkie, ścięte do łokcia, obszyte w koło ręki wstawką i falbanką odwróconą o ćwierć łokcia na rękaw. Wstawka jak u kołnierzyka podwleczona aksamitką.

Uważaliśmy takież same kołnierzyki z walansienki, różniące się tem, że walansienka przyszywa się gładko do wstawki, i z nią razem fałduje w drobne fałdki, tworząc jakby wodę z wypuszczoną z obu stron główką. Pod wstawką podwleczona bywa wstążeczka. Rękawy mają być odpowiednie z odwróconym do łokcia garnirunkiem.

Robią także wiele kołnierzyków, gładkich płóciennych lub haftowanych, z przedłużonemi z przodu klapkami spiętemi na guzik, haft składa się zwykle z wąziuchnego szlaczka zawróconego w kant po trzech stronach klapek. W koło idą ząbki z walansienki.

Siatki na głowę, ciągle się utrzymują. Do najmodniejszych należą jedwabne czarne przerabiane wielkiemi paciorkami lawowemi, perłowemi, lub naśladującemi korale. Sznur z takichże paciorek, dany w diadem nad czołem stanowi całe ich ubranie. Siatki te zowią *Agnes Sorel*.

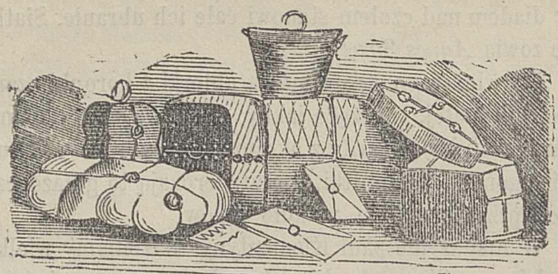
Do większego stroju, noszą ubiorki z koronki czarnéj lub białéj, tworzące jakby gniazdko nad czołem. W środku idą kokardy z aksamitki albo kwiaty. Długie końce z aksamitki, przytwierdzają to gniazdeczko i przewiązują się w koło koków.

W magazynie pani Klementyny widzieliśmy wielki wybór prześlicznych ubiorków, złożonych po największéj części z pąsowego lub niebieskiego aksamitu, przybranych dużemi perłami i koronką. Między kapeluszami odznaczał się fijołkowy aksamitny naciągany w podłuż i zasiany wielkiemi paciorkami z lawy. Główka cała nagarnirowana koronką. Szarfy aksamitne fijołkowe. Podpięcie z aksamitnych aurykli. Drugi kapelusz czarny aksamitny naszyty cały lawowemi gwiazdkami. W koło ronda buffa z jasno szafirowego aksamitu przeciągnięta z tyłu w miejscu karczka. Nad tą buffą przypięta gałązka czarnéj aksamitnéj fuksji od któréj kwiatki spadają na szafirowy aksamit. Podpięcie z fuksji i blondynki. Szarfy szafirowe aksamitne i kokardy z czarnéj atłasowéj wstążki z długiemi końcami wpięte z tyłu, pięknie odpowiadają całości.

Opis ryciny.

Figura 1. *Ubranie wizytowe.* Suknia z popeliny Irlandzkiéj koloru popielatego. U dołu wielkie zęby złożone z pomniejszych zębów, naszyte aksamitką czarną. Z pod aksamitki spada sznelowa frendzla, szeroka na trzy palce. Od stanika spadają po bokach baskiny, tworzące przedłużenie od boczków, obszyte aksamitką i frendzlą. Pasek pokryty po bokach baskiną, ma dwie klamry, z białéj konchy perłowéj. Stanik spięty z przodu na perłowe guziki. Epolet naszyty aksamitką i frendzlą. Mankiety mają kształt klapy obszytéj aksamitką, spiętéj na dwa guziki. Klapa od spodn ręki zakończona frendzlą. Kapelusz z aksamitu niestrzyżonego (epinglé) główka ze zwyczajnego aksamitu, ułożona w kształcie muszli. Poniżéj główki spada mały aksamitny karczek z boku bukiet z aksamitnych kwiatów, szarfy aksamitne.

Druga figura przedstawia taką suknię zieloną z przodu z tą różnicą, że zamiast aksamitki, baskina obszyta pasmanterją. Przód stanika przybrany torsadami w drabinkę. U dołu spódnicy, z pod torsadki spada wązka fałdowana falbaneczka.



Pani Emilji Wa: Rotondy z koronki wełnianéj *lama* tak białe jak i czarne znajdują się w magazynie pani Kwiatkowskiéj po złp. 220. Rotondę z białego *moheru* do ślubnéj sukni obszyć można puszkiem łabędzim, który się sprzedaje na łokcie po złp. 2 gr. 15.

Pani Marji Go. Kamizelki i chusteczki włóczkowe bardzo praktyczne i wygodne pod paltoty Syberynowe dostać ich można od 15 do 30 złp.

Panu Janowi Korczyń. Do sprawunków dołożyliśmy złp. 2 gr. 16.

Pani Z. Słot. Chustki do nosa fularowe w dobrym gatunku kosztują po złp. 15. Mylną przesyłkę Tygodnika sprostowaliśmy na poczcie.

Pani Józefie Was. Do obszycia rotondy białéj kaszmirowéj stosowny będzie puszek łabędzi na 3 palce szeroki. Koronki białéj wełnianéj *lama* na pół łokcia szerokiéj niema jeszcze w tutejszych magazynach, są tylko całkowite burnusy i rotondy.

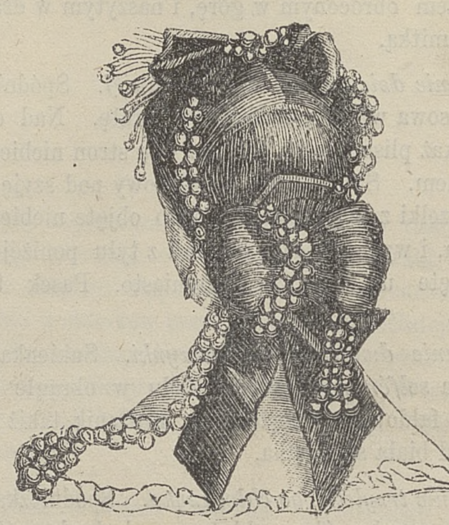
Pani L. Dy. Galonek turecki znajduje się w magazynie pana Thonesa po złp. 1 gr. 10 łokieć, frendzla jedwabna z grelotkami po złp. 6. Pasmanterja do paltocika jedwabnego wynosić będzie złp. 46. gr. 20 Pannie Florentynie W. Suknie ślubne z białego *poult de soie* robią zupełnie gładkie ze stanikiem do paska i klamrą z konchy perłowéj. Rękawy paltotowe. Tarlatanowa suknia może mieć u dołu spódnicy naszyte 4 bufki i na wierzchu dodaną tunikę. Stanik marszczony pod szyję na podszewce wyciętéj. Rękawy nie zbyt szerokie zamknięte przy ręku.

Pani Wa. Kra. Kołnierzyki z przedłużonomi na przodzie końcami należą do najmodniejszych. Klamra do paska złocona kosztuje od 13 złp. gr. 10 do złp. 20.

Pani Karo. Nie. Kolczyki złote z bombkami średniéj długości kosztować będą złp. 66 gr. 20 takież same bronzowe wynoszą złp. 26 gr. 20. Bombki koralowe, kryształowe i perłowe bardzo używane.

Pani Zofji Wa. Do girlandy ślubnéj złożonéj z mirtu i kwiatu pomarańczowego wmięszać można i inne kwiaty jak *np.* róże, narcyzy i bez.

Pani Anieli Czerkas. w Bracławiu złp. 26 gr. 20 na prenumeratę odebraliśmy, należy się jeszcze Redakcji złp. 5.



Ubranie głowy z czarnego aksamitu i pereł pąsowych imitujących korale. Stroik taki w magazynie pani Sobolewskiéj kosztuje złp. 40.



Czepek z illuzji, blondyny, wstążki lilla i takichże kwiatów.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka a dla Prenumeratorów *na prowincji* spis i *cennik* nasion na r. 1865 ze składu *J. G. Berlińskiego* w Warszawie przy ulicy Rymarskiéj wprost Banku. *Kto więc z szanownych Prenumeratorów rzeczonego cennika nie otrzyma, ma prawo żądać takowego w Expedycji Gazet.*

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 6 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 30 (11) Lutego 1865 roku.

JAN BAUDRY

PRZEZ

AUGUSTA VACQUERIE.

(*Dalszy ciąg*).

AKT III.

SALON.

SCENA VIII.

BAUDRY, ADELA, PANI GERVAIS, potem OLIVIER.

ADELA.

Droga ciociu. (*rzuca się w jéj objęcia*)

PANI GERVAIS. (*odtrącając ją*)

Nie całuj mnie, gniewam się na ciebie.

ADELA.

Na mnie?

BAUDRY. (*do Barentina*)

Niech Olivier przyjdzie tu natychmiast (*Barentin wychodzi*).

PANI GERVAIS.

Pięknie czekałaś na ciotkę.

ADELA.

Właśnie miałam wyjechać.

PANI GERVAIS.

Rychło wczas! I ojciec twój nie mógł zaczekać w porcie.

ADELA.

Myśleliśmy że statek z Honfleur przychodzi dopiero o dziesiątéj.

PANI GERVAIS.

Ja nie przypływam z Honfleur.

ADELA.

Przecież tak było w liście.

PANI GERVAIS.

Tak, ale zmieniłam projekt, dowiedziawszy się że koléj żelazna nie dochodzi do Honfleur.

ADELA.

Nie mogliśmy przewidzieć téj zmiany.

PANI GERVAIS.

Ojciec twój winniejszy od ciebie.

ADELA.

Ojciec mój czeka w téj chwili na brzegu.

PANI GERVAIS.

Tém lepiéj, niechże czeka, czemu się nie stawił na czas. Nie wiedząc o niczem pojechałam do dawnego naszego mieszkania, gdzie nie znalazłam żywéj duszy. Sąsiedzi dopiéro powiedzieli mi, że mieszkacie nąd morzem, w domu pana Baudry. Wytłomacz mi zkądże ta odmiana?

BAUDRY. (*zbliżając się*)

Pani!

PANI GERVAIS.

A! pan Baudry, przebacz pan że wpadam tu jak burza.

BAUDRY.

Jesteś pani w domu brata swego.

PANI GERVAIS.

Wina w tem Adeli i jéj ojca, którzy nie czekali na mnie w porcie. (*Olivier ukazuje się we drzwiach*)

BAUDRY.

Pan Bruel natychmiast tu będzie. W jego nieobecności, pozwól pani przedstawić sobie męża panny Adeli.

PANI GERVAIS.

Co? jéj męża!

BAUDRY.

Dotąd narzeczonego. Chodźże tu Olivier.

PANI GERVAIS.

Pan Olivier! (*biegnie ku niemu*) Ja wiedziałam że ty kochasz Adelę.

ADELA.

Ciociu!

BAUDRY. (*na stronie*)

Oh!

OLIVIER. (*na stronie*)

Niech i tak będzie.

ADELA.

Idę za pana Baudry.

PANI GERVAIS.

Za pana Baudry? Tak!... (*cicho do Adeli*) Czemużeś mnie nie uprzedziła?

BAUDRY. (*do Oliviera*)

I ja sądzę że obecność twoja potrzebna w Paryżu

OLIVIER.

Sądzisz Pan?

BAUDRY.

Jestem pewien.

PANI GERVAIS. (*cicho do Adeli*).

Widzisz!

OLIVIER. (*na stronie*)

Wypędzają mnie! Ja sam miałem odjechać, ale skoro mnie wypędzają jak złoczyńcę (*cicho do Adeli*) muszę z panią jeszcze pomówić.

ADELA.

Nie!

OLIVIER. (*cicho*)

O godzinie dwunastéj w tym pokoju.

ADELA.

Nie! (*odchodzi i podaje rękę Baudremu*)

OLIVIER. (*patrząc na nią*)

Żegnam pana!

BAUDRY.

Żegnam cię!

KONIEC AKTU 3-go.

AKT IV.

TENŻE SAM SALON

SCENA I.

BARENTIN potem ADELA.

BARENTIN. *poglądając na zegar.*

Kwandrans na dwunastą, a mój pan nie wraca z panem Bruel. Czy to się godzi powracać tak późno do domu, kiedy ja muszę wstać jutro o szóstéj. Wiemci ja że skoro pan Olivier nie zostaje, pan musi szukać innego świadka. On temu nic nie winien. Trzeba pozamykać okiennice- (*idzie do okna.*) Niebo się pochmurzyło, deszcz pada niemiło być na dworze.

ADELA (*wbiegając.*)

O dwunastéj! on wróci, odkryją go i zgubieni jesteśmy. Nie trzeba żeby wracał!... jak temu zapobiedz?... Barentin.

BARENTIN.

Jestem pani.

ADELA.

Zamykasz okiennice — więc się zawsze boisz złodzieja.

BARENTIN.

Jak się nie mam bać?

ADELA.

Którędyż chcesz żeby tu przyszedł?

BARENTIN.

Alboż ja chce tego?

ADELA.

Wszak zamykasz kratę od dziedzińca.

BARENTIN.

Zamykam kratę, zamykam drzwi, zamykam okiennice, a wtedy jestem trochę spokojniejszy. Parkan wysoki, najeżony szkłem w górze, nie łatwo go przeskoczyć, a że tylko pan mój i pan Olivier mają klucze....

ADELA.

Co? pan Olivier ma klucz?

BARENTIN.

Mój pan przez wzgląd na nas służących oddał mu drugi klucz, aby nikogo nie budził, kiedy wraca, do domu w nocy.

ADELA.

Kiedy pan Olivier jedzie do Paryża, zostawia tu klucz zapewne.

BARENTIN.

Najczęściéj.

ADELA.

Czy go dziś nie zostawił?

BARENTIN.

W téj chwili uprzątając pokój uważałem że go tam nie było. Musiał go zabrać przez nieuwagę.

ADELA.

Albo go zgubił. Mógł go ktoś znaleść; w takim razie dom otwarty dla złodzieja.

BARENTIN. (*przerażony*)

Oczywista rzecz.

ADELA.

Jakże na to poradzić?

BARENTIN.

Możnaby zamknąć drzwi na drugi zamek.

ADELA.

Na jaki?

BARENTIN.

Drzwi od sieni mają skryty, ale nikt go nie używa, bo pan utrzymuje że dosyć jednego,

ADELA.

Co do mnie zgadzam się z tobą. I ja też obawiam się złodziei. Czybyś nie mógł dziś wieczór, nic nie mówiąc panu Baudry, zamknąć obadwa zamki.

BARENTIN.

Jakże mówić nie mam, kiedy pan ma klucz od drugiego?

ADELA.

Czy nie wiész gdzie go chowa.

BARENTIN.

On sam nie wié. Kiedy pani przybyła tu z ojcem mówiłem mu że kobiety są trwożliwe, że lepiéj byłoby może zamykać drzwi na drugi zamek. Odpowiedział na to, iż nie wié o kluczu. Nie chciał go nawet szukać. Ale żeby pani sama poprosiła, pewien jestem że pan poszukałby go dla niéj.

ADELA.

Tak jest, będę go prosić.

BARENTIN.

Dziękuję pani. Chwała Bogu że pani przynajmniéj nie zbyt śmiała. Nie cierpię zanadto odważnych panów. (*wychodzi*)

ADELA. (*sama*)

Tak, zabrał klucz. Nie będzie mógł otworzyć. Czasem mała przeszkoda, odwraca od złego zamiaru. Wreszcie róbmy co można. (*wchodzi Bruel*).

SCENA II.

BRUEL, ADELA.

BRUEL.

Co ja to słyszę? ciotka przyjechała — którędy?

ADELA.

Przez Kaen.

BRUEL.

A kazała czekać w innem miejscu. Musi być zła, gdzie ona jest?

ADELA.

Zamknęła się w swoim pokoju. Nie chodź tam lepiéj ojcze!

BRUEL.

A co? czy nie mówiłem. Skoro mnie widzieć nie chce, pójdę spać, bo przemokłem do nitki. Dobranoc ci Adelo.

ADELA.

Dobranoc ojcze.

BRUEL.

Nie dobre dziecko! jutro porzucasz nazwisko ojca, jutro nazwę cię panią Baudry. Mniejsza oto, będziesz zawsze moją ukochaną córką.

ADELA.

Mój ojcze!

BRUEL.

Czy nie żałujesz postanowienia twego?

ADELA.

Dla czego zapytujesz mnie?

BRUEL.

Prawda, dziwne pytanie! ale w téj chwili Baudry wyrzekł słowo, które utkwiło mi w sercu pomimo woli. A potem, od kilku dni widzę cię zamyśloną i smutną. Nie dziwię się temu, a jednak bolesno mi patrzéć na taką zmianę. Zdaje się jakbyś co ukrywała przedemną, jakbyś mi wyrzucała twoją zbyteczną dobroć. Słowem jesteś inna niż dawniéj.

ADELA.

Mylisz się mój ojcze!

BRUEL.

Dla czego *mój ojcze* dawniéj mówiłaś *drogi* lub *kochany* ojcze. Mała to zmiana, ale i ta mnie boli.

ADELA (*z przymileniem*).

Drogi ojcze! bądź spokojny!

BRUEL.

Tak to rozumiem. (*ściska ją, wchodzi Baudry*)

SCENA III.

BAUDRY, BRUEL, ADELA.

BRUEL.

Mój Baudry, sądzę że się wypłacę zdługu, bo ta którą ci daję warta więcéj niż wszystko złoto świata. Ale dosyć tego. Dziwna rzecz że radość wyciska nam łzy z oczu. Śmiejmy się lepiéj. Czy wiész, siostra gniewa się na mnie za to, że przez nią dostałem kataru.

BAUDRY.

Może czego potrzeba.

BRUEL.

Ciepłego łóżka i nic więcéj. Jutro rano będę zdrów, dobranoc Baudry.

BAUDRY.

Dobranoc.

BRUEL.

Dobranoc Adelo.

ADELA.

Śpij dobrze drogi ojcze.

BRUEL.

Najdroższe dzi écię moje! (*caluje ją w czoło i wychodzi*).

SCENA IV.

BAUDRY, ADELA.

BAUDRY.

Już późno, zapewne potrzebujesz pani spoczynku.

ADELA.

Mam prośbę do pana.

BAUDRY.

Cóż takiego?

ADELA.

Powiesz pan żem dziecinna, ale Barentin winien temu. Przed chwilą zamykał okiennice, udzielił mi swojéj obawy. Mówił mi że drzwi opatrzone są drugim zamkiem, od którego klucz jest u pana. Czybyś go nie mógł poszukać.

BAUDRY.

Dziwny człowiek! Ależ mówiłem mu przecie, że niewiem gdzie się podział.

ADELA.

Może się znajdzie.

BAUDRY.

Szukałem go napróżno, musiał zginąć. Ale przyrzekam ci, jutro każę zrobić nowy.

ADELA.

Jutro będzie może za późno.

BAUDRY.

Co? jutro zapóźno.

ADELA.

Trwoga Barentin'a mimowoli oddziałała na mnie. A potem w nocy my kobiéty lękamy się, same nie wiedząc czego. Jak słońce wejdzie, będę się śmiała z dzisiajszego przestrachu.

BAUDRY.

Na tę noc znajdzie się sposób. Barentin może czuwać. Będzie to słuszna kara za tchórzostwo.

ADELA.

O nie!

BAUDRY.

A to czemu?

ADELA.

Wyrzucałabym sobie, żeby dla dziecinnéj mojéj obawy, biedny człowiek pozbawił się śpoczynku, którego tak potrzebuje.

BAUDRY.

Masz słuszność. Jakżeś ty dobra. A więc ja będę czuwał.

ADELA. (*drżąc*)

Pan?

BAUDRY.

Tak jest, ja szczęśliwy będę, czuwając nad tobą.

ADELA. (*na stronie*)

O Boże!

BAUDRY.

Zdajesz się bardzo wzruszona.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



TYGODNIK MÓD

w Warszawie